



PREMIERA W DRAMATYCZNYM

NIE PRZESZKADZA CI MORDERCA, A PRZESZKADZA GEJ?

Jeśli słyszysz obrzydliwy, homofobiczny dowcip i nie reagujesz, dokładasz cegiełkę do atmosfery sprzyjającej morderstwu. Zbrodnia rośnie z naszego odwracania głowy, by nie widzieć i nie słyszeć – **MICHAŁ GIELETA** opowiada o sztuce „Projekt Laramie”, którą reżyseruje w Teatrze Dramatycznym

ROZMAWIA PAWEŁ SMOLEŃSKI

NEWSWEEK: Co się stało w Laramie?

MICHAŁ GIELETA: W 1998 r. zabito studenta Matthew Sheparda, geja.

Mówiono o nim „gej”?

– W Nowym Jorku albo w Kalifornii tak by powiedziano. Ale w Laramie, miasteczku w Wyoming? Nie wiem, ale pewnie mówili pedał.

Dzisiaj w Polsce nawet arcybiskupi mówią LGBT.

– I dodają słowo „zaraza”, więc postęp jest wątpliwy. Ale kiedy ludzie mówią LGBT, przestają gadać o mniejszościach wyłącznie w kontekście seksu, kto z kim, jak i dlaczego tak, a nie inaczej, który niejako z automatu narzuca słowo „homoseksualizm”.

Mord w Laramie zdarzył się niemal 30 lat po Stonewall, najściu policji na klub w Nowym Jorku, co było przyczynkiem powstania Ruchu Wyzwolenia Gejów, organizacji walczącej o równe prawa dla społeczności LGBT.

Amerykanie wiedzieli już wtedy, że AIDS nie jest chorobą gejów, którą można się zarazić przez podanie im dłoni. Oglądali „Anioły w Ameryce”, obsypaną nagrodami sztukę Tony’ego Kushnera o społeczności gejowskiej i pandemii AIDS w latach 80. Ale to, co pokazywano na Broadwayu i w San Francisco, niekoniecznie musiało trafić gdzieś na prerie. Klimat w Laramie był wówczas jak dzisiaj w Polsce. Zbliżały się wybory, republikański burmistrz obiecywał, że wypłeni wszelkie tzw. występki i to, co uważał za bezbożne plugastwo.

Dwóch chłopaków zwabiło Matthew za miasto, przywiązało do płotu i go tłukło. Nie potrzebowali pistoletów, noży, nawet kija, nie przygotowywali się do morderstwa. Po prostu przyszło im do głowy, że pobiją pedała. Zostawili go w szczerym polu, żeby zdechł.

Minęły dwa dni, zanim został znaleziony przez przypadkowego przechodnia. Kolejne pięć dni konał w szpitalu. Ameryka modliła się, by wyzdrowiał.

Cała Ameryka?

– Różne denominacje chrześcijańskie zaraz zabrały głos, mówiąc o woli bożej, grzechu i piekle. Fred Phelps, pastor baptystów z Kansas, ogłosił, że Bóg nienawidzi pedałów, największą zmorę świata.

Lecz generalnie po tej zbrodni przelało się. Amerykanie zastanawiali się nie tylko nad nienawiścią wobec gejów i bezsensownością tego morderstwa, ale również nad brakiem prawa chroniącego mniejszości seksualne.

Dużo było podobnych zbrodni?

– W statystykach nie uwzględniano wtedy kontekstu nienawiści do gejów; znaleziono ciało i kropka. O takiej zbrodni opowiada oscarowy film „Tajemnica Brokeback Mountain”, który po części też dzieje się w Wyoming.

Musiałoby być ich jednak całkiem sporo, bo inaczej Amerykanie nie zareagowaliby tak zdecydowanie. Nowojorczyk Moisés Kaufman, gej wychowany w ortodoksyjnym żydowskim domu, pojechał do Laramie ze współpracownikami z Tectonic Theater Project. Rozmawiali z wieloma mieszkańcami i tak powstała sztuka „The Laramie Project”. O zamordowaniu Matthew,

ale też o mieście, traumie i o tym, jak można czyste zło zamienić w coś dobrego.

To nie jest sztuka o gejach, tylko o nas wszystkich, podobnie jak opowieść o Jedwabnem nie jest o Żydach, lecz o zbrodniarzach i o zbrodni.

– Laramie utraciło niewinność. Przepadły iluzje o idyllicznej prowincji wśród prerii, o świecie dzielnych kowbojów. Naprawdę nie ma znaczenia, kim był Matthew Shepard. Mógł być uchodźcą, Romem, niepełnosprawnym. Ta sztuka stawia pytanie, jak doszło do tej bezsensownej zbrodni.

Jak?

– Sprawcy nie byli żadnymi potworami, to chłoptasie z pryszczami na twarzach, przerażeni tym, co zrobili, nieudacznicy, jeden sierota. Mordercy zostali skazani, a ojciec Sheparda wygłosił wspaniałą mowę, w której wyrzekł się zasady odwetu.

Ale były też przypadki obwiniania ofiary – gdyby Matthew nie przyznawał się do orientacji, nic by się nie stało. Trzeba było czekać dekadę do prezydentury Baracka Obamy i ustawy Matthew Shepard i James Byrd Act o penalizacji przestępstw popełnionych wskutek nienawiści do ludzi o mniejszościowej orientacji seksualnej.



JEŚLI ZWYCIĘŻY MILCZENIE, BĘDZIE TYLKO KWESTIĄ CZASU, GDY POLSKI MATTHEW ZOSTANIE ZABITY

Laramie do dziś jest republikańskie i fundamentalistycznie chrześcijańskie. Ale nauczyciele zaczęli opowiadać, co to znaczy być członkiem mniejszości seksualnej w takiej dziurze. Podczas parady absolwentów miejscowego uniwersytetu dołączają mieszkańcy z banerami, by rodzice Sheparda wiedzieli, że się z nimi solidaryzują. W paradzie – co również jest w sztuce – idą matki z małymi dziećmi, tłumacząc, dlaczego tak postępują.

Amerykańska kultura ma to do siebie, iż w kryzysie szuka szansy. Kaufman przywołuje w „The Laramie Project” prawdziwą przemowę jednego pastora z miasta. Mówił o milczeniu i przyzwoleniu. Jeśli słyszysz obrzydliwy, homofobiczny dowcip i nie reagujesz, dokładasz cegiełkę do atmosfery sprzyjającej morderstwu. Gdy faceci w barze opowiadają coś o pedałach, nie czujesz się z tym komfortowo, ale nie masz odwagi, by się wtrącić – robisz to samo. Księża, gdy siedzą cicho, jak ich koledzy po fachu plotą trzy po trzy, również są odpowiedzialni. Zbrodnia rośnie z pozornie nieważnych spraw, z naszego odwracania głowy, by nie widzieć i nie słyszeć.

Ksiądz katolicki z Laramie mówi w sztuce, że ziarno przemocy jest w słowie, bicie i zabójstwo to tylko ciąg dalszy. Dlatego prze-

raża mnie, jak w Polsce nawet ludzie o liberalnych poglądach śmieją się z politycznej poprawności. Cokolwiek by o niej powiedzieć, nie pozwala o innych ludziach mówić w sposób wykluczający i obraźliwy, broni przed pogardą. Nie można mówić „pedał”, ale też opowiadać polish jokes. Świat anglojęzyczny przyswoił te reguły, nie śmieje się z dowcipów o głupich Polakach i menstruujących kobietach. To nie są wyśmiewane w Polsce jakieś idiotyczne ograniczenia, tylko sposób na lepsze społeczeństwo. Obrażanie jest elementem polskiej kultury słowa. „The Laramie Project” żadnej postaci nie przedstawia jak karykatury.

Przedstawienie Kaufmana odnosi w Stanach ogromny sukces, bo nie ma w nim ani słowa fikcji, tylko sama prawda. Grał m.in. Peter Fonda, ale sztukę wystawiają także prowincjonalne i uniwersyteckie teatry. Pokazywana jest nawet w Ugandzie, gdzie jest chyba najostrzejsze ustawodawstwo antygejowskie. A jednak znalazła się tam grupa bardzo odważnych ludzi, którzy ryzykują życie, bo uznali, że to ważne.

Skąd pomysł, żeby wystawić ją w Polsce?

– Jeszcze przed marszem w Białymstoku byłem w Lesznie, mieście wyglądającym jak zachodnie. Z daleka na murze widzę kawałek graffiti: „Jebać”. Byłem pewien, że idzie o Żydów, ale nie – „Jebać pedałów”. Pomyślałem wtedy, że to trzeba wystawić.

Na całym świecie na „The Laramie Project” przyprowadzane są dzieciaki i nie wyrastają z nich dewianci. Największa angielskojęzyczna poezja, czyli sonety Szekspira, jest przepojona homoerotyką. Wielkie amerykańskie filmy poruszają problemy LGBT. O czym jest „Kotka na blaszanym dachu” z Liz Taylor i Paulem Newmanem? Włosi przyzwyczaili się do wierszy Michała Anioła i Leonarda da Vinci, wiedzą, że to byli geniusze, a nie tylko geje. Nie mam pojęcia, ile osób kojarzy „Króla Rogera” Karola Szymanowskiego z głębokim homoerotyzmem. Ale pewnie niewielu.

Spektakl może zrobić wiele, uzdrawia atmosferę. Jeden z bohaterów sztuki zaprasza matkę na przedstawienie, a ta mu mówi, że nie przyjdzie, bo homoseksualizm jest złem. Odpowiada więc, że poprzedniego dnia grał Makbeta, zamordował kupę ludzi i pyta: nie przeszkadza ci morderca, a przeszkadza gej? Tak rodzi się poczucie, że coś jest nie tak.

Albo i nie rodzi.

– Kilka lat temu przez USA przetoczyła się fala samobójstw dzieciaków LGBT. Rodzina często gada im straszne rzeczy, w kościele słyszą to samo, koledzy się podśmiewują, bo ich seksualność jakoś się przecież objawia.

Aktorzy z Broadwayu, politycy najwyższej rangi, dziennikarze i uczeni stworzyli wtedy kampanię „It Gets Better”. Ci, którym się powiodło, opowiadali, że doskonale wiedzą, jak to jest, gdy cały roztelepany wychodzisz z domu do szkoły, bo nie wiesz, kto ci dokuczy, kto wyśmiewa, skąd polecą kamień. Cierpienie, ból odrzucenia i upokorzenia były autentyczne. Każda z tych opowieści wymagających emocjonalnego przeżycia, łączy się słowami, że będzie lepiej. Nie wydaje mi się, by wielu ludzi publicznych w Polsce znających takie upokorzenie było do tego zdolnych, a tu idzie o życie. U nas osoby wykluczone

starają się być niewidzialne zgodnie z zasadą „nie pytaj, nie mów”, obowiązującą w armii amerykańskiej i zmienioną dopiero przez Obamę.

U nas nie da się być lesbijką i dumnym oficerem armii. Czy jako gej możesz bronić ojczyzny? Póki o tym się nie mówi, opowieść o historii i teraźniejszości jest całkowicie heteroseksualna, co przecież nie jest prawdą. Mój zmarły przyjaciel, wielki włoski reżyser Franco Zeffirelli był w czasie wojny w antyfaszystowskiej partyzantce. W tokańskich lasach byli też szkoccy spadochroniarze i z jednym z nich – nazywał się Jimmy – Franco zafundował sobie chyba najpiękniejszy romans życia. Gdy na Wyspach kręcił Hamleta z Melem Gibsonem, pojechał go odwiedzić. Zobaczył łysiego faceta z brzuszkiem, żonatego i dzieciatego. Takich historii było mnóstwo. Miłość dzieje się w takiej albo siakiej konfiguracji, bo się dzieje. Póki te historie będą nieobecne, póty nie poznamy prawdy.

Głupota polega na założeniu, że gdy w Polsce myśli się o LGBT, to myśli się o seksie, a nie o ludziach, którzy mogą być aktywni seksualnie albo i nie, kochają albo i nie. Gdyby w Polsce ludzie mniej się bali, gdyby udało się znaleźć dumny ton mówienia o swojej tożsamości, który znaleziono w świecie anglo-amerykańskim, pomogłoby to zapobiec wielu traumom. Jeśli należysz do mniejszości i masz pieniądze, jakoś tam będzie, wystawisz sobie mur chroniący przed zniewagami. Ale w małym miasteczku, z pensją sprzedawcy czy urzędniczki w gminie już niekoniecznie.

Trudno o odwagę w kraju, gdzie władza, biskupi, znaczna część społeczeństwa jest skrajnie homofobiczna.

– „The Laramie Project” nie jest dydaktyczna. Opowiada o ludziach wychowanych w konkretnej kulturze, którzy muszą poradzić sobie z prawdą. To warunek konieczny dialogu: nie wyśmiewać, nie wywyższać się, nie kpić. Mamy odzew z kilku polskich miast, które chcą nasze przedstawienie pokazać. Teatr ma i takie zadanie, by pokazywać drogę z sytuacji, które są jeszcze nieprzerobione.

Po co komu taki dialog? O czeskich filmach Miloša Formana mówiono, że są cyniczne i kpią, aż ktoś mądry zauważył, że reżyser „celnie ugodził w małego czeskiego człowieka”. W jego tchórzostwo, kołtuństwo, piwny debilizm, dobroduszną głupotę. Inne czasy, inni ludzie, ale diagnoza wspaniała.

– Oglądałem Helen Mirren, gdy na londyńskiej scenie grała królową i np. żartowała z podwójnych nazwisk sugerujących aspiracje społeczne. Konserwatywna część publiczności, ci wszyscy z zadartymi nosami siedzieli skonfundowani. Liberałowie śmiali się do rozpuku. Ale wspólnie byli na widowni.

W Polsce wspólnie się nie da. Wyobraża pan sobie narodową prawicę oglądającą „The Laramie Project”? A mimo to dwa lata temu przyjął pan propozycję ministra kultury, by zostać szefem artystycznym krakowskiego Starego Teatru, akurat przejmowanego przez tzw. dobrą zmianę.

– Zostałem potraktowany instrumentalnie przez głównych graczy Ministerstwa Kultury, a najmocniej dostało mi się od ludzi kultury liberalnej, do których też siebie zaliczam.

Zobaczyłem największe uprzedzenie tam, gdzie się go najmniej spodziewałem.

Chciałem połączyć zachodnie doświadczenie teatru narodowego z realiami teatru subsydiowanego, utrzymywanego z podatków według modelu sprzed 1989 roku. Uważam, że wielu widzów czeka na teatr wystawiający wielkie, ważne politycznie i społecznie pisarstwo, a przy całym moim szacunku dla Starego, jego zespołu aktorskiego i reżyserów, miałem wrażenie, że to scena stawiająca bardziej na ultrainterpretacje niż teksty czy wielkie kreacje w wielkich rolach. Proponowałem bardziej racjonalne, moim zdaniem, wykorzystanie publicznych pieniędzy. Przedstawiłem program spektakli, w którym była tematyka jak z „The Laramie Project”, problem antysemityzmu jak wokół sprawy Dreyfusa, najważniejsze teksty światowych scen, czyli plan jak najbardziej liberalny i otwarty. Nikt w ministerstwie nie powiedział mi, że to program niesłuszny, że Stary Teatr jest sceną narodową i trzeba wystawiać jakieś bogoojczyźniane ramotki. Gdyby urzędnicy chcieli mi coś dyktować, powiedziałbym „bye, bye”.

”

**GDYBY W POLSCE
LUDZIE MNIEJ SIĘ BALI,
GDYBY UDAŁO SIĘ ZNALEŹĆ
DUMNY TON MÓWIENIA O
SWOJEJ TOŻSAMOŚCI, KTÓRY
ZNALEZIONO W ŚWIECIE
ANGLOAMERYKAŃSKIM,
POMOGŁOBY TO ZAPOBIEC
WIELU TRAUMOM**

Ludzie, z którymi pan rozmawiał, kiepsko wypadają w teście na prawdomówność i wiarygodność.

– Możliwe, że w Polsce każdemu – prawicy i lewicy, „dobrej zmianie” i liberałom – zdaje się, że wszyscy z wielką uwagą przyglądają się nadwiślańskim perypetiom. Tymczasem można być Polakiem, jak ja, wyrazić chęć włączenia się w nurt polskiej kultury, ale mieszkać i tworzyć w Londynie, żyć swoim własnym życiem, wystarczająco interesującym, by nie śledzić z wypiekami na twarzy, co się dzieje w kraju. Bo – na zdrowy rozum – co takiego, poza sztuką, powinno dziać się w teatrze i z teatrem?

Może dziać się jedynie słuszna polityka jedynie słusznej władzy.

– Naprawdę nie mogłem zakładać, że ludzie, z którymi rozmawiałem o Starym Teatrze, bardziej myślą o polityce niż o sztuce.

Nie miałem w sobie takiej podejrzliwości ani stosownych informacji. Ale dobrze... Sprawdziłem w internecie człowieka, który finalnie został dyrektorem i miał być moim przełożonym. Widziałem go wcześniej na festiwalu kultury żydowskiej. Wyskoczyło mi, że był redaktorem „Gazety Wyborczej”, zajmował się teatrem, więc założyłem stereotypowo, że to liberał, należymy do podobnej bajki. O ministrze kultury wiedziałem tyle, że jego brat jest reżyserem i robi dobre filmy.

Nie miałem imperatywu kategorycznego, żeby być dyrektorem w Krakowie. Zobaczyłem możliwość zrobienia czegoś wyjątkowego na polu twórczym. I tyle. Nie wiem, do jakiego stopnia moje dobre intencje zostały pojęte przez środowisko.

Od ministerstwa nie dostałem nawet szkicu kontraktu. Na wszystkie podróże do Polski wykladałem z własnej kieszeni i zostałem z odwołanymi kontraktami na inne spektakle i tysiącami funtów niezrefundowanych przez ministerstwo. Wszystko działało się tak bardzo po polsku: zero konkretnego i zobowiązania na piśmie. Prosiłem, by nie obwieszczać mojego nazwiska, póki się nie dogadamy. Reszta wydarzeń odbyła się poniekąd poza moją kontrolą. Nie będę się dziś zastanawiać, czy ktoś zwodził, kłamał, kombinował, chciał coś ugrać. Bycie niewolnikiem teorii spiskowych jest wbrew mojej naturze.

Po co polskiej widowni „The Laramie Project”?

– Siłą sztuki są rodzice Matthew, wierzący chrześcijanie mający kłopot z akceptacją orientacji syna. Takich ludzi w Polsce jest multum. Siłą są postacie morderców, zwyczajnych chłopaków, naszych sąsiadów, kuzynów, którzy ulegli nienawiści. O tym trzeba mówić.

Parę miesięcy temu Maggie Smith zrobiła w Londynie monodram o sekretarce Goebbelsa. Wstrząsający, bo ta zwyczajna, jakoś pocziwa kobieta zupełnie nie miała świadomości, że powinna mieć zdanie na temat nazizmu. Gdy się dowiedziała, że mordują ludzi, mówiła: to rzeczywiście przykre, nie powinno się tak robić. Lecz generalnie – a przecież była dobrym człowiekiem – milczała.

Jeśli zwycięży milczenie, będzie tylko kwestią czasu, gdy polski Matthew zostanie zabity. Nawet niespecjalnie, przecież wystarczy kogoś popchnąć, nieszczęśliwie upadnie, walnie głową o krawężnik i koniec. Co w gruncie rzeczy jest bez znaczenia. **N**

Paweł Smoleński

MICHAŁ GIELETA (1974) JEST WARSZAWIAKIEM WYKSZTAŁCONYM W OKSFORDZIE, ABSOLWENTEM STUDIÓW REŻYSERSKICH W TEATRZE NARODOWYM W LONDYNIE, REŻYSEREM OPEROWYM I TEATRALNYM. WYSTAWIAŁ W ANGLII, USA, RPA, WŁOSZACH I W KRAJACH SKANDYNAWSKICH. BYŁ ASYSTENTEM FRANCO ZEFFIRELLEGO

PREMIERA PRZEŁOŻONEJ I WYREŻYSEROWANEJ PRZEZ GIELETĘ SZTUKI „PROJEKT LARAMIE” ODBYŁA SIĘ 20 WRZEŚNIA W WARSZAWSKIM TEATRZE DRAMATYCZNYM